

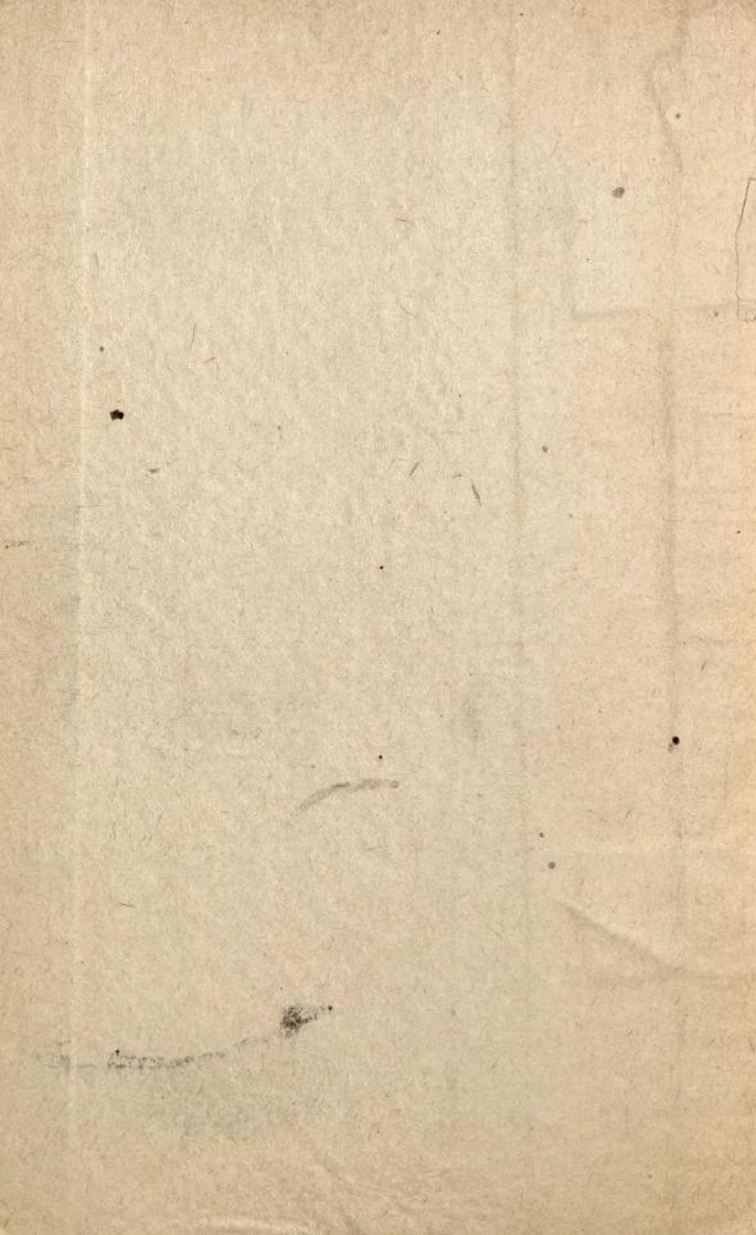
STEFAN ŻEROMSKI

SIŁACZKA

NA POKŁADZIE



NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ
POZNAN — WILNO — ZAKOPANE



STEFAN ŻEROMSKI

SIŁACZKA

NA POKŁADZIE



NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ
POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE

SIŁACZKA.

W nienajlepszym humorze powrócił do domu doktor Paweł Obarecki z winta, za pośrednictwem którego składał uroczyście życzenia księdzu plebanowi wraz z aptekarzem, pocztarzem i sędzią w ciągu ośmiu godzin z rzędu. Powróciwszy, drzwi gabinetu zamknął tak szczelnie, aby się do niego nikt, nie wyłączając dwudziestoczteroletniej gospodyni, wedrzeć nie mógł, — usiadł przy stoliku i wpatrywał się przedewszystkiem z uporem w okno, bez żadnego zresztą wyraźnego powodu, następnie zaś zajął się bębnieniem palcami po stole. Czuł najwyraźniej, że opanowywać go zaczyna »metafizyka«.

Wiadomą jest rzeczą, że człowiek kultury, wyrzucony przez pęd odśrodkowy niedostatku z ogniska życia umysłowego do Kłwowa, Kurozwęk lub, jak doktor Obarecki, do Obrzydłówka, podlega z upływem czasu, wskutek dżdżów jesiennych, braku środków komunikacyi i absolutnej niemożności mówienia w ciągu sezonów całych — stopniowemu przeistaczaniu się w twór mięsożer-

no-roślinnożerny, wchłaniający nadmierną ilość butelek piwa i poddany atakom nudy, osłabiającej aż do takiego stanu, jaki graniczy z usposobieniem, poprzedzającym wymioty. Zwyczajną nudę małomiasteczkową połyka się bezwiednie, jak bezwiednie zając połyka jajka tasiemca, rozproszone na trawie przez psy... Od chwili zagnieżdżenia się w organizmie bąblowca — »najzupełniej mi jest wszystko jedno« — zaczyna się właściwie proces umierania. Doktor Paweł w epoce jego życia, o której mówię, zjedzony był już przez Obrzydłówek wraz z mózgiem, sercem i energią — zarówno potencyonalną, jak i kinetyczną. Doświadczał nieprzezwykłego wstrętu do czytania, pisania oraz rachowania, mógł całemi godzinami spacerować po gabinecie lub leżeć na szezlongu choćby z niezapalonym papierosem w zębach w tęsknem, dokuczliwym i bolesnem niemal oczekiwaniu na coś, co się stać musi, na kogoś, kto musi nadejść, mówić cokolwiek, choćby kozły przewracać, w natężonem wsłuchiwaniu się w szmery i szelesty, zwiastujące przerwanie ciszy, która dławi i przygniata niejako do ziemi. Szczególniej dokuczała mu zazwyczaj jesień. W ciszy jesiennego popołudnia, zalegającej Obrzydłówek od przedmieścia do przedmieścia, było coś bolesnego, coś, co poduszczało do wołania o pomoc. Mózg, opleciony niby miękkim przedziwem pajęczyny, wypracowywał myśli czasami niesłychanie pospolite, a niejednokrotnie — stanowczo do niego niepodobne.

Gwizdanie i dysertacye z gospodynią raz przyzwoitsze (o niesłychanej np. wyższości pieczonego

prosięcia, nadzianego kaszą tatarską, rozumie się, bez majeranku, nad takimże prosięciem, nadzianem innemi substancjami), kiedyindziej zaś ohydnie nieprzystojne — stanowiły jedyną rozrywkę. Wytoczy się, bywało, na połowę niebios chmura z potwornemi odnogami w kształcie łap tytanicznych i bury jej kłęb zawisnie bezwładnie, nie mogąc rozwiać się w przestwór i grożąc zawaleniem się na Obrzydłówek i dalekie, puste pola. Od chmury tej leci, niesiona przez wiatr ukośnie mgła kropelek, które osiadają na szybach w postaci kryształków, sprawiając w szumie wiatru szelest odrębny a przejmujący, jakby obok, gdzieś za węglem domu lkało dziecko, dobywające resztki jęku. Daleko na miedzach stoją, pozbawione liści, samotne gruszki polne, miotają się ich gałęzie, deszcz je siecze... Myśl zbiera z tego krajobrazu smutek, w którym było coś chronicznie kataralnego — i mglisto, niejasno, bezwiednie wyczuwaną trwozę. Ten właśnie nastrój kataralno-melancholijny stał się nastrojem dominującym i rozciągał się na sezony letnie i wiosenne. Zagnieździł się w duszy doktora smutek zjadliwy, a nie mający żadnej podstawy. Za nim nadciągnęło lenistwo nieopisane, lenistwo zabójcze, wytrącające z rąk ofiary nawet nowelle Alexis'a.

»Metafizyka«, jakiej doktor Paweł doświadczał ostatnimi czasy raz, czasami dwa razy do roku — to kilka godzin świadomego samobadania, bystro, z szaloną gwałtownością napływających wspomnień, niecierpliwego zbierania strzępów wiedzy, szamotania się, graniczącego z wściekłością

szlachetnych porywów, przywalonych gliną bezczynności, rozmyślań, wybuchów goryczy, postanowień niezłomnych, ślubów, zamiarów... Wszystko to, rozumie się, nie prowadziło do żadnej zmiany na lepsze i przemijało, jako pewna miara czasu mniej lub więcej dotkliwego cierpienia. Z »metafizyki« można się było wyspać, jak z bólu głowy, by wstać nazajutrz z umysłem odświeżonym, energiczniejszym i uzdolnionym lepiej do podjęcia zwyczajnego jarzma nudów, oraz używania wszytkiej energii mózgu na wymyślanie najsmaczniejszego jadła. Endemia »metafizyki« wskazywała jednak naszemu doktorowi, że w jego egzystencji roślinnej, najedzonej, niejako nasyczonej filozofią mocnego, zdrowego rozsądku, kryje się jakaś rana nieuleczalna, niewidoczna, a dolegająca nad wyraz, niby ranka nad próchniejącą kością.

Doktor Obarecki przybył do Obrzydłówka przed sześcioma laty, zaraz po ukończeniu studyów, z umysłem rozwidnionym zorzą niewielu wprawdzie, ale nadzwyczajnie pożytecznych myśli, tudzież z kilkoma rublami w kieszeni. Mówiono podówczas bez przerwy o konieczności osiedlania się w lasach i Obrzydłówkach. Posłuchał apostołów. Był śmiały, młody, szlachetny i energiczny. W pierwszym zaraz po osiedleniu się miesiącu wydał niebacznie wojnę aptekarzowi i felczerom miejscowym, uzdrawiającym za pomocą środków, wkraczających w dziedzinę misteryi. Aptekarz obrzydłowski, »eksploatując sytuację« (do najbliższej apteki przez cywilizację obdarzonej, miejscowości było mil pięć) — nakładał haracz na jednostki,

pragnące powrócić do zdrowia dzięki jego olejom,— balwierze zaś wybudowali, trzymając się z farmaceutą za ręce, wspaniałe domostwa; w *kacabajach*, niedźwiadkami podbitych, chadzali, zachowując na obliczach wyraz takiej powagi, jakgdyby w każdej chwili żywota prowadzili księdza plebana na procesyi Bożego Ciała.

Gdy delikatne i ogniste perswazyje, skierowane do farmaceuty, a wypowiedziane patetycznie z rozmaitych »punktów widzenia«, traktowane były, jako idylle młodzieńcze, i skutku żadnego nie odniosły, — doktor Obarecki, uzbierawszy nieco grosza, kupił apteczkę podręczną i zabierał ją ze sobą, jadąc do chorych na wieś. [Sam przygotowywał na miejscu lekarstwa, udzielał ich za bezcen, jeżeli nie za darmo, uczył higieny, badał, pracował z fanatyzmem, z uporem, bez snu i odpoczynku. Rzecz prosta, że natychmiast po rozejściu się wieści o apteczkach przenośnych, udzielaniu pomocy za darmo i tym podobnych punktach widzenia — wybito mu wszystkie szyby, jakie istniały w ubogiem mieszkaniu. Ponieważ zaś Boruch Pokoik, jedyny szklarz w Obrzydlówku, odprawiał w owym czasie święto Kuczek, — trzeba było okna wykleić bibułą i czuwać nocą z rewolwerem w prawicy. Wprawione wreszcie szyby wybito powtórnie i wybijano je odtąd peryodycznie, aż do chwili sprawienia dębowych okiennic. Rozpuszczono między ludnością miasteczka wieść, jakoby młody doktor obcował z duchami ciemności, oczerniono go w opinii inteligencyi okolicznej, jako mesłychanego nie-uka, odciągano przemocą chorych, zmierzających

do jego mieszkania, wyprawiano w majowe wieczory kocie muzyki i t. d. Młody doktor nie zwracał na to wszystko uwagi, ufając w zwycięstwo prawdy. Zwycięstwo prawdy nie nastąpiło. Nie wiadomo dlaczego... Już po upływie roku doktor poczuł, że jego energia staje się zwolna »dziedzictwem robaków«. Zetknięcie blizkie z ciemną masą ludu rozczarowało go nad wyraz; jego prośby, namowy, istne prelekcyje z zakresu higieny upadały, jak ziarna na opokę. Robił, co tylko mógł — napróżno! Szczerze mówiąc — trudno nawet wymagać, aby człowiek, nie mający butów na zimę, wygrzebujący w marcu z cudzych pól zgniłe, zeszłoroczne kartofle w celu czynienia sobie z nich podplomyków, mielący na przednówku korę olszową na mąkę, aby tę domieszać do zbyt szczupłej miary mąki żytniej, gotujący kaszę z niedojrzałego ziarna, nabranego o świcie »sposobem kradzionym«, — mógł zreformować w sensie dodatnim zaniedbane zdrowie swoje pod wpływem choćby najzrozumialej wyłożonych praw zdrowotności. Nieznacznie doktorowi zaczęło być »wszystko jedno...« Jedzą zgniłe kartofle — cóż począć? — niechaj jedzą, jeżeli im smakują. Mogą nawet jadać surowe — to trudno...

Ludność żydowska miasteczka leczyła się u marzyciela, ponieważ nie odstraszały jej duchy ciemności, a zachęcała nadzwyczajna taniość »medycyny«.

Pewnego pięknego poranku doktor skonstatawał, że ów płomyczek nad jego głową, z którym tu przyszedł i którym chciał rozwidnić drożynę swoją — zgasł. Zagasił sam przez się: wypalił się.

Wówczas apteczka podręczna została na klucz do szafy zamknięta i doktor sam jedynie z niej korzystał.

Co za męczarnia jednak dać się pokonać farmaceucie i balwierzom, ustać, zakończyć wojny obrzydłowskie zamknięciem apteczki do szafy!

Zwycięzcami mają prawo się okrzyknąć i zbierać łupy, lecz nie oni go pokonali: sam się pokonał. Zadusił proste i wysokie myśli i uczynki, może dlatego, że się w jadło zbyt często wdawać zaczął — dość, że zadusił. Coś tam jeszcze robił, leczyl myśląc — nie miał już jednak nikt z całej jego ówczesnej »działalności« za pół papierosa pożytku.

W okolicznych siedzibach pańskich przemieszkiwali dziwnym zbiegiem okoliczności sami troglodyci »z dziada pradziada«, którzy doktorów wogóle traktowali w sposób cokolwiek niewspółczesny. Jednemu z nich złożył doktor Paweł wizytę, co było pomysłem chybionym, ponieważ troglodyta przyjął go u siebie w gabinecie, siedział podczas wizyty w kamizelce i jadł spokojnie szynkę, krając ją scyzorykiem. Doktor poczuł w sobie napływ ducha demokratyzmu, powiedział półhrabi coś cierpkiego i nie składał więcej wizyt w okolicy.

Pozostał tedy do wymiany myśli ksiądz proboszcz i sędzia. Obcować jednak zbyt często z plebanem — markotnie jest nieco: sędzia zaś był człowiekiem, mówiącym rzeczy, których zupełnie nie można było pojąć, — pozostała tedy właściwie samotność. Aby uniknąć złych następstw absolutnego przebywania z samym sobą, usiłował zbliżyć

się do przyrody, odzyskać spokój, harmonię wewnętrzzną ducha, poczucie siły i odwagi, wynalazłszy te żelazne ogniwa, jakie człowieka zespalają z przyrodą. Zadnych jednak ogniw żelaznych nie odnalazł, pomimo, że błąkał się po polach, docierał nawet do poręb w lesie i zagrzął pewnego razu w bagnie na pastwisku.

Płaski krajobraz otaczało zewsząd sinawe pasma lasu. Bliżej, na wydmuchach szarego piasku, rosły samotne chojaki, a naokół ciągnęły się nie wiedzieć do kogo należące zagony. Pastwiska, porośłe »kozicą« i żółtawemi trawami, umierającemi przedwcześnie, jakby do rozwoju gałązek zieleni w ich pędach zabrakło światła — stanowiły jedyne upiększenie Obrzydłówka. Zdawało się, że słońce oświeśla to pustkowienie po to jedynie, aby okazać jego bezpłodność, nagość i posępność...

Brzegiem drogi, okrytej brudnym piaskiem, pokrytej wybojami i wygrodzonej ruinami płotu, włókł się codziennie biedny doktor z parasolem... Droga ta nie prowadziła, zdawało się, do żadnych osad ludzkich, rozszczepiała się bowiem wśród pastwiska na kilkanaście ścieżek i ginęła między kretowiskami. Zjawiała się znowu dopiero na szczycie wydmy piaszczystej w postaci dwu trójkątnych wyżłobień w piasku i szła w las karłowatych sosenek.

Jakaś niecierpliwa złość ogarnęła doktora, gdy patrzył na ten krajobraz, i pożerała mu spokój nieokreślona obawa...

Lata upływały. Zarządzono z inicjatywy księdza plebana zgodę między aptekarzem a doktorem

gdy skonstatowano dodatnie zjawisko »ochłonięcia« tego ostatniego. Antagoniści zaczęli odtąd wspólnie »orać« w wincie, choć doktor z obrzydzeniem zawsze patrzył na farmaceutę. Stopniowo i obrzydzenie nieco się zmniejszyło. Zaczął chodzić z wizytą do aptekarza i emablować jego żonę. Pewnego razu przeraził się nawet wynikiem analizy własnego serca, która okazała, że zdolnym jest do platonicznego rozmiłowania się w pani aptekarzowej, damie, tępej umysłowo, jak siekierka do rąbania cukru, gotowej dać się ukrzyżować za przekonanie zupełnie nawet bezzasadne, że jest wiotką, powabną i niebezpieczną, i opowiadającej z przedziwnym zapalem, a bez przerwy o grzechach głównych swojej pokojówki. Słuchał doktor Paweł całemi godzinami wymowy pani Anieli, zachowując na obliczu uśmiech, jaki oglądać można na ustach młodzieńca, emablującego grono pięknych dam w chwili, gdy mu najstraszliwiej dokucza ból zębów.

Do czynów bohaterskich w zakresie demokracji w ObrzydłóWKu pojąć, choćby w imię znosniejszego przepędzania czasu, nie był już zdolnym. Za żadną cenę nie byłby składał wizyt rzeźnikom, jak to zamierzał swojego czasu; jeżeli mógł rozmawiać, to jedynie z ludźmi, będącymi w jakiej takiej kulturze.

Wówczas to nie tylko już energia uległa zniszczeniu, — znikło i poszanowanie dla wszelkiej myśli szerszej. Z wielkich widnokręgów, ledwie dających się zmierzyć rozmarzonemi oczyma, został widnokrag tak dalece mały, że można go było

zakreślić końcem modnego kamaszka. Na rozbrzmiewające po artykułach szukanie »prawdy jasnego promienia i nowych, nieodkrytych dróg« zapatrywał się w początkach umierania z goryczą, żalem, zawiścią, następnie — z ostrożnością człowieka, mającego pewien zasób doświadczenia, później z niedowierzaniem, wkrótce potem z półśmiechem, potem ze zdecydowanym lekceważeniem, a koniec końców nie zapatrywał się wcale, ponieważ było mu najzupełniej wszystko jedno. Leczył według wskazówek rutyny, praktykę jaką taką wyrobić sobie zdołał, przywykł jakoś do Obrzydłówka, do samotności, do nudy nawet, do prosiąt pieczonych i nie kwapił się bynajmniej do ogniska życia umysłowego.

Zasadą, do której, niby do wspólnego mianownika, sprowadzały się czyny i myśli doktora Obareckiego, stała się ta: — dawajcie pieniądze i wynoście się...

A jednak w chwili, gdy siedział po powrocie z imienin księdza proboszcza, zajęty bębnieniem palcami na stole, »metafizyka« opanowywała go z dawną siłą. Już podczas jakiejś szesnastej godziny wintowej doktor czuł się niedobrze. Wywołał to aptekarz znowu, który zaczął ni z tego ni z owego studyować historię powszechną Cezara Cantu (w przekładzie Leona Rogalskiego) i, wyrobiwszy w sobie bardzo radykalny pogląd na działalność Aleksandra VI-go, w bezwyznaniowość jakoby popadł.

Doktor Obarecki wiedział aż nadto dobrze, ilaczego farmaceuta dysputami destrukcyjnymi róż-

bestwia księdza proboszcza; przeczuwał, że są to preludya do zbliżenia się, zaprzyjaźnienia na mocy jedności poglądów... Przeczuwał, że odwiedzi go kiedykolwiek, będzie, z daleka zachodząc, wskazywał umiejętnie na brak kapitału, źródło »stagnacyi«, a zniżywszy loty do spraw obrzydłowskich, wykaże, ileby oni dwaj, trzymając się za ręce, korzyści społeczeństwu przynieśli: jeden pisaniem recept na łokcie, drugi eksploatowaniem sytuacji... Kto wie — może zaproponuje szczerze i otwarcie, »nóżki kładąc na stół«, założenie czysto wekslowej spółki, której celem będzie wspólne maszerowanie w tonie gnojówki. Przeczuwał także doktor, że nie będzie miał siły do zakończenia propozycji aptekarzowych nakręcaniem mu z lekka kości policzkowej, ponieważ nie wiedzieć w imię czego kość tę nakręcać... Przypuszczał nawet, że spółka ta stanie, — któż wie... Gorycz zalała mu serce. Co się stało, jakim sposobem aż dotąd zaszedł, dlaczego nie wyrwa się z tego błota, czemu jest leniuchem, marzycielem, refleksyonistą, psowaczem własnych myśli, karykaturą wstrętną samego siebie?...

I zaczęło się, podczas wpatrywania się w okno, nadzwyczajnie szczegółowe, pilne, badawcze, bezlitośne i subtelne oglądanie własnej bezsilności. Śnieg padał wielkimi płatkami, przesłaniając smutny krajobraz zimowy mgłą i zmrokiem.

Chimeryczną a bezpłodną gonitwę myśli przerywały nagle wykrzykniki gospodyni, usiłującej przekonać kogoś, że doktora w domu niema. Doktor jednak wyszedł do kuchni, aby rozerwać pasmo męczących go myśli.

Ogromny chłop w żółtym kożuchu zmiótł »wściekłą czapkę« pył z pod jego nóg w głębokim pokłonie, odgarnął pięścią włosy z czoła, wyprostował się i zamierzał rozpocząć oracyę.

— Czego? — zapytał doktor.

— A to, wielmożny doktorze, sołtys mię tu przysłał...

— Po co?

— A po wielmożnego doktora.

— Kto chory?

— Nauczycielka ta u nas we wsi zachorzała, sparło ją cosi. Przyszedł sołtys... jedźcie, pada, Ignacy, do Obrzydłówka po wielmożnego doktora, może, pada...

— Pojadę. Konie dobre?

— A konie ta, jak konie: śwarne gady.

Podobała się doktorowi myśl jazdy, zmęczenia się, choćby nawet niebezpieczeństwa. Wdział z nagłym ożywieniem grube buty, kożuszek, futro, którem możnaby było otulić wiatrak, pasem się opasał i wyszedł przed dom. »Gady« chłopskie niewielkie były, ale okrągłe, wypasione, — wasąg olbrzymi na saniach, słomą wyładowany i okryty kilimkiem. Zanurzył się w słomę, otulił, — chłop przysiadł bokiem na przednim siedzeniu, odmotał parciane lejce z kłonicy, konie zaciął. Pomknęli.

— Daleko to? — zagadnął doktor.

— Będzie ta może ze trzy mile, może niema.

— Nie zbłądzisz?

Chłop obejrzał się z uśmiechem ironicznym.

— Któż... ja?

Wiatr dał w polu przejmujący; niekute, uko-

śne, ledwo ociosane siekierą sanice wrzynały się w głęboki, świeżo spadły śnieg, odwracając na bok białe jego skiby. Drogę zanosło.

Chłop »wściekłą czapec« na bok przechylił i zaciął konie. Doktor czuł się dobrze. Minawszy lasek, który zdawał się tonąć w śniegu, wyjechali na pusty, bezludny przestwór, oprawny w ramy lasu, ledwie widzianego na krańcu widnokregu. Zmrok zapadał, powlekając ten nagi i surowy obraz pustkowiecia niebieskawym kolorytem, który ciemniał nad lasem. Grudki zbitego śniegu, wyrzucane kopytami koni, przelatywały koło uszu doktora. Nie wiedzieć czemu chciało mu się stanąć na saniach i wołać po chłopsku, z całych sił, w ten głuchy, niemy, nieskończony przestwór, urzekający ogromem, jak przepaść. Nachylała się szybko noc dzika i ponura, noc pól niezamieszkałych.

Wiatr się wzmógł, dał jednostajnie z hukiem, przechodzącym od czasu do czasu w głuche *largo*; śnieg zaciął z boku.

— Strzeżcie drogi, gospodarzu, bo może być źle — zauważył doktor, kryjąc nos w futro.

— A no, małuskiel — wrzasnął chłop na konie, zamiast odpowiedzi.

Głos ten ledwo już można było dosłyszeć w wichrze. Konie biegły w cwał.

Zamieć rozszalała się nagle. Bałwanami miotać się począł wicher, uderzał w sanie, skowyczał między sanicami, tłumił oddech. Słyszać było parskanie koni, lecz ani ich, ani furmana doktor nie mógł dostrzedz. Kłęby śniegu, zdzierane z ziemi

przez wiatr, leciały, jak stado koni, i słychać było niby tętent ich tytanicznych skoków; chwilami wydierało się z ziemi piekło huku i szła ta melodia uderzać wszystką potęgą tonów w chmury, łamać je i upadać nagle z łoskotem. Wtedy rozpryskiwało się w puch posłanie śniegowe i otaczało podróżnych naszych wirującymi słupami. Wydawało się, że jakieś potwory zataczają w szalonym tańcu olbrzymie koła, że doganiają z tyłu, zabiegają z przodu, z boku i sypią po szczypcie śniegu na sanie. Gdzieś, najwyżej, w zenicie uderzał niby wielki, rozkołysany dzwon przeciągle, głucho, jednostajnie.

Doktór poczuł, że nie jadą już po drodze; sanie posuwały się zwolna, uderzając końcami sanic o grzbiety zagonów.

— Gospodarzu! — zawołał z trwogą — a gdzie my jedziemy?

— Jadę polem do lasu — odpowiedział chłop — w lesie ciszej będzie... pod samą wieś lasem zjeżdżamy...

Rzeczywiście wiatr wkrótce ucichł, i dawał się słyszeć tylko huk podniebny i trzask łamiących się gałęzi. Na czarnem tle nocy majaczyły osypane śniegiem drzewa. Prędzej jechać nie można było, drożyna bowiem leśna, zawałona zaspami, przeciskała się wśród pniaków i gałęzi. Nareszcie po upływie jakiejś godziny, podczas której doktor szczerze namartwił się i naobawiał, dały się słyszeć powtarzające się głuche odgłosy: — psy szczekają.

— Nasza wieś, wielmożny panie...

Zamigotały światełka w oddali, podobne do chwiejących się w różne strony punkcików, dym zapachniał.

— Nuże, małe! — zawołał wesoło na konie woźnica, rozgrzewając się za pomocą obijania boków pięściami.

Za chwilę mijali pędem szereg chat, do strzech, zasypanych śniegiem. Na tle szyb zamarzniętych okien, od których padały na drogę kręgi światła, rysowały się cienie głów.

— Wieczereż ludzie jedzą... — bez żadnej potrzeby zauważył chłop, przypominając doktorowi czas »wieczery«, której spożywać dnia tego nie miał nadziei.

Zatrzymały się konie przed jakimś domostwem; chłop wprowadził doktora Pawła do sieni i znikł. Namacawszy klamkę, doktor wszedł do małej nędznej izby, oświetlonej kagankiem naftowym.

Zgrzybiała i zgarbiona, jak rączka od parasola, kobiecina zerwała się, ujrzawszy go, z łóżka, poprawiła chustkę na głowie i jeją mrugać powiekami a wytrzeszczać czerwone oczy ze złe tajemnem przerażeniem.

— Gdzie chora? — spytał. — Samowar macie?

Stara w przerażeniu swem do słowa przyjść nie mogła.

— Samowar macie, herbaty możecie mi zrobić?

— Jest ten ta samowar... jeno cukru...

— Masz tobie! cukru niema?

— A niema... chybaby Walkowa mieli, bo to panienka...

— Gdzież ta wasza panienka?

— A dy w stancyi nieboga leży.

— Dawno chora?

— Pokłada się to ta już ze dwie niedziele, a teraz ani ręką, ani nogą. Ścisnęło i pokój.

Uchyliła drzwi do izby sąsiedniej.

— Zaraz! ogrzać się muszę, — zawołał gniewnie doktor, zdejmując futro.

Ogrzać się w tej norze nie było trudno: z pieca rozchodziło się takie gorąco, że doktor co prędzej wsunął się do pokoju »panienki«. Małą tę i nadzwyczajnie ubogą izdebkę oświetlała lampa przyćmiona, stojąca na stole obok wezgłowia chorej. Rysów twarzy nauczycielki nie można było rozemnać, gdyż padał na nie cień jakiejś dużej księgi. Doktor zbliżył się ostrożnie, lampę rozświecił, usunął książkę i przyglądać się zaczął pacjentce. Była to młoda dziewczyna, pogrążona we śnie gorączkowym. Szkarłatem była powleczonej jej twarz, szyja, ręce, — na tle tem znać było jakąś wysypkę. Jasno-popielate, niezmiernie bujne włosy leżały poplątane pasmami na poduszce, wiły się na twarzy. Ręce bezwiednie i niecierpliwie szarpały koldrę.

Doktor Paweł pochylił się aż do samej twarzy chorej i zaczął nagle mówić głosem, który przecinało i dusiło przerażenie.

— Panno Stanisławo, panno Stanisławo, panno Stanisławo...

Chora leniwie i z wysiłkiem dźwignęła po-

wieki, lecz zamknęła je natychmiast. Przyciągała się, przesuwiała głowę od jednego końca poduszki do drugiego i jakoś cicho, boleśnie, głucho jęczała. Co chwila otwierała usta z wysiłkiem, jak karp, polykając powietrze.

Doktor powiódł oczami po nagich, wapnem wybielonych ścianach izby, dostrzegł okno, źle opatrzone, przemokłe i zeschnięte trzewiki chorej, stosy książek, leżące wszędzie: na ziemi, na stoliku, na szafce...

— Ach ty, szalona, ty, głupia! — szeptał, zalamując rękę.

Gorączkowo, z trwogą i żalem zaczął ją badać, mierzył drżącymi rękami temperaturę.

— Tyfus... — wyszeptał, blednąc.

Z wściekłością ścisnął sobie gardło, w którem dławili go, niby zwitki pakul, lzy niezdolne wypłynąć. Widział, że jej nie pomoże, nie nie może pomódz, — roześmiał się nagle, wspomniawszy, że po taką chininę lub antypirynę trzeba posyłać do Obrzydłówka... trzy mile. Panna Stanisława otwierała od czasu do czasu oczy szklanne, bezmyślne, podobne do zastygłego pod powiekami płynu, i patrzyła, nie nie widząc, przez długie, kolistе rzęsy. Wołał na nią najczulszemi nazwami, unosił jej głowę, słabo trzymającą się na szyi — nadarmo.

Usiadł bezwładnie na stolku i wpatrywał się w płomień lampy. Oto nieszczęście, jak wróg śmiertelny, zadało mu ślepy cios i wlecze teraz bezsilnego do jakiejś mrocznej pieczary, do jakiejś szczeliny bez dna...

— Co począć? — szeptał, drżąc.

Przez szpary okna wdzierał się chłód burzy zimowej i przechodził przez izbę, jak widmo złowieszcze. Zdawało się doktorowi, że go ktoś dotyka, że, prócz niego i chorej, jest w izbie ktoś trzeci...

Wyszedł do kuchenki i zakrzyknął na służącą, aby mu wołała natychmiast sołtysa.

Stara wdziała co tchu olbrzymie buty, okryła głowę »zapaską« i, zabawnie podskakując, znikła. Wkrótce potem zjawił się sołtys.

— Słuchajcie, nie znajdziecie mi człowieka, któryby pojechał do Obrzydłówka?

— Teraz, panie doktorze, nie pojedzie... zawieja. Na śmierć pojedzie... Psa ciężko wygnać.

— Ja zapłacę, wynagrodzę.

— Nie wiem ja... przepytam się.

Wyszedł. Doktor Paweł ścisnął skronie, które zdawał się rozsadzać napływ krwi. Przysiadł na skrzynce i o czemś dawnym, dalekiem myślał.

Dały się wkrótce słyszeć kroki: sołtys prowadził parobczaka w kożuszynie przedartej, nie dosięgającej mu do kolan, w zgrzebnych spodniach, kiepskich butach i czerwonym szaliku na szyi.

— Ten? — zapytał doktor.

— Powiada, że pojedzie... śmiałek. Ja konia mogę dać, ale gdzież to w taki czas...

— Słuchaj, jeżeli wrócisz za sześć godzin, dostaniesz ode mnie dwadzieścia pięć, trzydzieści rubli, dostaniesz... co chcesz... słyszysz?

Chłopczyzna popatrzył na doktora, — miał zamiar coś powiedzieć, ale się powstrzymał. Ustąpił

nos palcami, bokiem się odwrócił i czekał. Doktor powrócił do stolika nauczycielki i zaczął pisać. Ręce mu się trzęsły i skakały co chwila do skroni. Kombinował, pisał, przekreślał, darł papier. Wy-stosował list do aptekarza, prosząc, aby natych-miast wysłać konie do miasta powiatowego po tamtejszego lekarza, prosił o wysłanie mu chininy; nachylał się nad chorą, badał ją jeszcze. Wyszedł wreszcie do kuchni i wręczył list chłopakowi.

— Mój bracie — mówił jakimś nieswoim, dziwnym głosem, kładąc ręce na ramionach wyrostka i wstrząsając nim — co koń skoczy, to tehu... Słyszysz, mój bracie!...

Chłopiec skłonił mu się do nóg i wyszedł z sołtysem.

— Ta nauczycielka dawno tu u was we wsi siedzi?... — zagadnął doktor Paweł babinę, przytuloną do komina.

— Trzy zimy!... jakoś bodaj.

— Trzy zimy. Nikt tu z nią nie mieszkał?

— A któż ta miał... ja jeno. Przygarnęło mię chudziątko... służby, powiada, już nie znajdziecie, babko, a u mnie ta roboty niewiele, aby ta, aby... Teraz masz: com sobie obiecowala, że mi trumnę sprawi, to ja... módl się za nami grzesznemi...

Zaczęła niespodziewanie szeptać modlitwę, odcinając wyraz od wyrazu i poruszając wargami, jak wielbłąd. Głowa jej się trzęsła, zmarszczkami wlewały się łzy do ust bezzębnych.

— Dobra była...

»Babka« zaczęła chlipać śmiesznie i machać rękami, jakby pragnęła od siebie doktora odegnać.

Wszedł do pokoju i zaczął na palcach chodzić po swojemu, dokoła... chodził, chodził... Zatrzymywał się od czasu do czasu przy łóżku i z gniewem, od którego bieleły mu wargi i wyszczerzyły się zęby, mówił do chorej:

— Niemądra byłaś! Tak żyć nie tylko nie można, ale i nie warto. Z życia nie zrobisz jakiegось jednego spełnienia obowiązku: zjedzą cię idyoci, odprowadzą na powrozie do stada, a jeśli się im oprzesz w imię swych głupich złudzeń, to cię śmierć zabije najpierwszą, boś za piękna, zbyt ukochana...

Jak płomień suche drewno, obejmowało go dawne, przeżyte, zapomniane uczucie; zjawiało się porywające, jak niegdyś, i zabójczo słodkie. Wmawiał w siebie, że nigdy o niej nie zapomniał, że do tej chwili ją uwielbiał i pamiętał... Przypatrywał się tej twarzy znajomej z jakąś nienasyconą ciekawością i cichy, przeszywający ból wjadał mu się w serce. Trzy lata tu mieszkała obok niego, — dowiadyuje się o tem, gdy mu umiera...

Wszystko, co go spotykało tego dnia, wydawało mu się, jako dalszy ciąg udręczeń przymusowo-borsuczego istnienia. Jednocześnie rozchyłał się jakiś tajemniczy horyzont, jakiś ocean, ginący we mgłach. Po nerwach jego, aż do najdalszych ich gałązeczek, ściekały zimne dreszcze. Miotał się, jak śliz, na błotnistem dnie strumienia wychowany, gdy go zanurzyć w wodzie morskiej...

To też całym wysiłkiem rozpaczliwej niecierpliwości uchwycił się wspomnień, uciekł w nie

przed nieznosną rzeczywistością, zatonął, jak w obłoku mgły czerwcowego przedświt.

Za jakąbądź cenę pragnął być choćby przez chwilę sam, aby myśleć, myśleć...

Z pokoju nauczycielki wszedł przez małe drzwiczki do dużej izby, zastawionej ławkami i stolikami. Tam usiadł w ciemności i, niby skupiając ducha, niby obmyślając środki ratunku, zaczął wspominać. Oto, co sobie przypomniał.

Jest ubogim studentem czwartego kursu. Idzie w poranek zimowy do szpitala, tak misternie stawiając nogi, by nie wszyscy przynajmniej widzieli, iż dziury w podeszwach tekturą umiejętnie są pozatykane. Paltocik ma ciasny, jak kaftan waryata, wytarty tak dalece, że Żyd letnią porą ośmiu zań złotych dać nie chciał. Bieda nastraja go pesymistycznie, wtrąca w jakiś stan ciągłego smutku, który jest czemś nieskończenie większem, niż nuda przykra, lecz daleko mniejszem, niż cierpienie. Można się z tego obudzić natychmiast: dość jest wypić kilka szklanek herbaty, zjeść befszytk, — lecz herbaty nie pił i obiadu prawdopodobnie jeść nie będzie. Biegnie niemal po brunatnem błocie z ulicy Długiej, aby o trzy kwadransy na dziewiątą wchodzić w bramę ogrodu Saskiego. Tam spotka panienkę, przejdzie obok niej, przyjrzy się ciężkiemu, długiemu, jasno-popielatemu jej warkoczowi... Ona nie podniesie oczu, zmarszczy brwi, podobne do prostych a wązkich skrzydełek jakiegoś ptaka.

Spotykał ją wówczas w tem samym miejscu codziennie. Szła szybko na Krakowskie-Przedmie-

ście, wsiadała do tramwaju i jechała na Pragę. Nie miała więcej nad siedmnaście lat, a wyglądała, jak stare pannisko, w baszłyku, zarzuconym nieźbale na futrzaną czapkę, w kaloszach, za dużych trochę na jej małe nogi, w niezgrabnej i niemodnej salopce. Niosła zawsze pod pachą jakieś kajety, arkusze zapisane, książki, mapy. Raz jeden, czując się w posiadaniu kilku dziesiątek, przeznaczonych na obiad, postanowił zbadać, dokąd ona jeździ. Puścił się wtedy w pogoń, wsiadł do tego samego, dziesięciogroszowego przedziału, lecz zaraz po zajęciu miejsca stracił całą odwagę. Nieznajoma zmierzyla go wzrokiem tak okropnej pogardy, że niezwłocznie wyskoczył z tramwaju, tracąc tym sposobem wazkę rosolu i nic nie wskórawszy.

Nie czuł jednak do niej żalu, — tem wyżej, dalej się wzniosła. Myślał o niej pomimo woli, bezwiednie, bez przerwy. W ciągu całych godzin usiłował przypomnieć sobie, uprzytomnić jej włosy, oczy, usta o kolorze owocu dzikiej róży — i wysilał pamięć nadaremnie.

Zaledwie mu znikła z oczu, znikają z pamięci jej rysy, — zostawało natomiast natrętne widmo, podobne do białego obłoku o niejasnych rysach, które szło przed nim gdzieś górą. Obłok ten gonili jego myśli z tęsknotą i pokorną bojaźnią, z odrobiną nieuchwytnego żalu, ze smutkiem i nieodegnaną sympatyą. Szedł co rano, aby żywą dziewczynkę ze swem widmem porównywać. I wydawała mu się ta żywa piękniejszą, napawały go jakimś strachem jej kryniczne i mądre oczy...

Podówczas jeden z jego kolegów, tak zwany

»Ruch w przestrzeni«, wielki »społecznik«, zaczynający wiecznie pisać wstępne artykuły, których dokończyć nie pozwalał mu brak potrzebnych po temu książek, nagle i niespodziewanie »wziął« i ożenił się z ubogą, jak mysz kościelna, emancy-pantką.

Żona wniosła »Ruchowi« w posagu stary dywan, dwa rondelki, gipsowy posąg Mickiewicza i kilkanaście nagród gimnazyalnych. Młodzi małżonkowie zamieszkali na czwartym piętrze i zaczęli zaraz po ślubie głodem przymierać. Udzielali oboje korepetycyi z takim zapalem, że, rozbiegłszy się rano, spotykali się dopiero wieczorem. Dom ich jednak stał się punktem, do którego zmierzał wieczorem każdy »społecznik« w zabłoconych sandałach, aby się wysiedzieć na fotelu, napalić cudzych papierosów, nagadać do ochrypnięcia i wydać ostatnie kilka groszy na składkę, za którą uprzejma gospodyni kupowała bułki i serdelki, układała artystycznie na talerzyku i częstowała gościnnie. Można się tam było zawsze z kimś spotkać, zaznajomić z nieznanymi do owej pory wielkimi ludźmi, z koleżankami gospodyni, a niejednokrotnie można było nawet pożyczyć czterdzieści groszy. Jakże pobladł Obarecki z radości, gdy, wchodząc pewnego wieczora do tak zwanego salonu, ujrzał ukochaną swoją panienkę w gronie koleżanek! Rozmawiał z nią i aż do nieprzyzwoitości tracił przytomność... Wracając tego wieczora do domu, pragnął być sam — nie marzyć, ani myśleć, tylko być z nią całą duszą, wszystką ją mieć w oczach, w uszach mieć dźwięk jej głosu, tak

myśleć, jak ona, zamknąć powieki i niechaj idą pod niemi te obrazy, które wydzierają się z serca. Pamiętał jej oczy przedziwne, posępne a miłosierne, łagodne i tajemniczo myślące, w których przerażała jakaś głęбина. Doznawał uczucia radości i spokoju, jakby po skwarnej i dręczącej podróży doszedł do czystego stoku, ukrytego w cieniu sosen na wyżynie górskiej.

Otaczano je szacunkiem, przywiązywano szczególną wagę do jej słów. »Ruch«, przedstawiając Obareckiego nieznaną jej, wydekłamował poważnie:

— Obarecki, refleksyonista, marzyciel, wielki leniuch, zresztą przyszła sława; panna Stanisława Bozowska, nasza »darwinistka«...

»Wielki leniuch« dowiedział się o »darwinistce« niewiele: ukończyła gimnazjum, dawała lekcye, miała zamiar jechać do Zurychu czy Paryża na medycynę, nie miała grosza przy duszy...

Spotykali się odtąd w »salonie« często. Panna Stanisława przynosiła pod salopką funt cukru, jakiś zimny kotlet w papierze, kilka bułek; Obarecki nie przynosił, ponieważ nic nie miał, pożerał za to bułki, pożerał oczami »darwinistkę«. Raz nawet, odprowadzając ukochaną do domu, oświadczył się o jej rękę. Roześmiała się serdecznie i pożegnała go przyjacielskiem uściśnieniem ręki. Wkrótce potem znikła; wyjechała do gubernii podolskiej, jako nauczycielka, do jakiegoś wielkopańskiego »domu«.

Spotyka ją teraz oto w tym zapadłym kącie, w tej wsi, ukrytej w lasach, zamieszkaney przez chłopów samych, gdzie niema dworu, gdzie niema

żywego ducha... Sama tu żyła w tej puszczy. Teraz umiera... zapomniana...

Wszystkie dawne zachwyty, niespełnione sny i pragnienia zrywają się nagle i biją w niego, jak porywy wichru. Serce ściska mu ból chorobliwy i jad namiętności wsącza się nieznacznie w krew wzburzoną. Powrócił na palcach do łóżka chorej, oparł łokcie na jego poręczy i nasycił się widokiem nagich ramion, które cudownymi liniami kojarzyły się z zarysem piersi i szyi. Panienka spała. Na skroniach jej nabrzmiały żyły, z zagiętych ku dołowi kątów ust sączyła się ślina, gorąco od niej biło, powietrze wpadało do ust z głośnym świstem. Doktor Paweł usiadł obok niej na krawędzi łóżka, pieścił rękami miękkie końce promieni włosów, głaskał się niemi po twarzy, dotykał ich wargami z wydzierającym mu się z piersi szlochaniem.

— Stasiu, Stachno... kochanko... — szeptał cicho, aby jej nie obudzić — nie ucieczesz mi już... prawda? nigdy... moją będziesz na zawsze... słyszysz... na wieki...

Usiadł potem obok wezgłowia chorej na stołku i zapadł znowu w marzenia. Bujna młodość zbudziła się w nim z letargu. Wszystko teraz będzie inaczej. Czuje w sobie siłę atlety do pełnienia uczynków, które z serca płyną. Boleść i nadzieja mieszają się jakby w płomień, kiedy liże mózg, trawi go, nie da mu spocząć.

Noc mijała. Godziny upływały leniwo, lecz upłynęło ich już od wyjazdu pośtańca więcej niż sześć. Była czwarta po północy. Doktor zaczął nasłuchiwać, zrywać się za każdym szelestem. Co

chwila zdawało mu się, że ktoś idzie, że otwiera drzwi, że stuka w okno... Wsluchiwał się całym niemal organizmem. Wiatr huczał, szyber w piecu kołatał — zresztą cisza znowu. I biegały minuty, trwające po sto lat, w ciągu których niecierpliwość rozprężyła nerwy i wprawia go w stan dygotania całym ciałem.

Gdy po raz szósty mierzył temperaturę, chora otwarła zwolna oczy, które w zmroku rzęs wydawały się prawie czarnymi, patrzyła w niego z uporem i wyszeptwała jakimś skrzeczącym głosem:

— Kto to ?

Zapadła jednak zaraz w stan poprzedniego bezczucia. Pocieszał się, jak skarbem, tą sekundą świadomości. Ach, gdyby mieć chininę, zmniejszyć jej ból głowy, powrócić przytomność! Poślaniec nie nadjeżdżał i nie nadjechał.

Przed świtem doktor Obarecki szedł wzdłuż wsi, po głębokich zaspach, łudząc się ostatnią nadzieją, że go zobaczy. Złe przeczucie, jak koniuszek igły, wrzynało mu się w serce. W nagich gałęziach topoli przydrożnych głucho huczał wiatr, choć burza uciechła. Z chat wychodziły kobiety po wodę i dźwigały ją w konewkach, zagięte powyżej kolan. Parobcy »zadawali« bydlu, z kominów dym się wznosił. Tu i owdzie z otwartych na chwilę drzwi wybuchał obłok pary.

Doktor odnalazł chatę sołtysa i kazał natychmiast zaprzęgać konie. Sprzężono ich dwie pary i jakiś parobczak zajechał przed szkołę. Doktor pożegnał chorą oczami, rozszerzonymi od znużenia

i rozpaczy, wsiadł na sanie i pojechał do Obrzydówka.

O godzinie dwunastej w południe powracał, wioząc swą apteczkę, wino, całe zapasy żywności. Stawał co chwila na saniach, jakby pragnął wyskoczyć i wyścignąć konie, w cwał biegnące. Zajeżdżał wreszcie przed szkołę, lecz nie wysiadał... Zdławiony, krótki wrzask wydarł mu się z ust, wykrzywionych prawie ukośnie, gdy ujrział otwarte okna domostwa i gromadkę dzieci, tłoczącą się w sieni. Szedł blady, jak płótno, do okna, zajrzał i został tam, łokciami oparty o futrynę.

W obszernej izbie szkolnej leżał na ławce rozebrany do naga trup młodej nauczycielki; dwie jakieś stare baby myły go... Drobne pyłki śniegowe wlatywały przez okno i osiadały na ramionach, na zmoczonych włosach, na półotwartych oczach umarłej.

Doktór poszedł do pokoiku nieboszczki, zgarbiony, jakby na ramionach dźwigał górę. Usiadł, nie rozbierając się, na krzeselku i powtarzał jeden wyraz, w którym zmieściła się wszystka jego boleść:

— Czyż tak? czyż tak?

Było mu zimno, jakby zmarzł, zmartwiał, jakby w nim krew zakrzepła. Nie cierpiał, nie wiedział, co mu jest, tylko po głowie toczyły mu się niby kola nie nasmarowane z przeraźliwem skrzypieniem.

Łóżko Stasi było rozmięcione: kołdra leżała na ziemi, prześcieradło zwieszało się na podłogę, poduszka przepocona leżała na środku łóżka. Dru-

ciane haczyki okien stukały monotonnie o ramy szyb; listki jakiejś rośliny, moknące w doniczce, zwieszały się i zwijały od mrozu.

Przez uchylone drzwi widział chłopów, klęczących dokoła ubranego już trupa, dzieci, modlące się na »książce«, stolarza, zdejmującego miarę na trumnę...

Wszedł tam i ochryplym głosem rozkazał, aby zbić trumnę z czterech desek nieheblowanych, wiorów pod głowę nasłać.

— Nic więcej... słyszysz?... — mówił do stolarza z tajoną wściekłością — cztery deski, nie więcej...

Przypomniawszy sobie, że trzeba kogoś zawiadomić... rodzinę. Gdzież jest ta jej rodzina?...

Zaczął z tępą, idyotyczną zapobiegliwością układać na jeden stos książki, rejestry szkolne, kajety, jakieś rękopisy. Natrafił wśród papierów na początek listu.

»Kochana Helenko! Od kilku dni czuję się tak źle, że prawdopodobnie przeniosę się przed oblicze Minosa i Radamantesa, Eakosa i Tryptolemosa, oraz innych wielu z półbogów, którzy i t. d. W razie tego »przesiedlenia się stąd na miejsce inne« zechciej zażądać od wójta mojej gminy, aby pozostała po mnie spuściznę książkową na ręce twoje wysłał. Opracowałam nareszcie »Fizykę dla ludu«, nad którą tyle nałamałyśmy sobie głów dziewczycy: opracowałam na brudno — niestety! Jeżeli ci czasu starczy, zawsze w razie mego przesiedlenia się na miejsce inne, — uszykuj to do druku i zmuś Antosia, niech przepisze; on to dla

mnie zrobi. Ach, co za smutek!... Prawda!... księgarzowi naszemu winnam jedenaście rubli kopiejek sześćdziesiąt pięć... wypłać mu... Spencerem moim, gdyż pustki u mnie w szkatule. Sobie na pamiątkę weź...»

Ostatnie wyrazy nieczytelными już były pisane kreskami. Nie było adresu, — nie można też było listu wysłać. W szufladzie stolika znalazł doktor rękopis owej »Fizyki«, o którym w liście czytał, zwitki notatek i szpargałów, w szafce — trochę bielizny, salopkę, kotkami podbitą, jakąś starą czarną sukienkę...

Krzążając się po pokoiku, dostrzegł w izbie szkolnej chłopaka, który jeździł po lekarstwo; stał przytulony w kącie do pieca, przestępując z nogi na nogę. Zwierzęca nienawiść zadrgała w duszy doktora.

— Dlaczegoś na czas nie wrócił? — zawołał, przyskakując do chłopca.

— Zabłądziłem na polu, koń mi ustał... piechotę przyszedłem rano... panienska już wtedy...

— Kłamiesz!

Chłopiec nie odpowiedział. Spojrzał mu doktor w oczy i dziwnego doznał wrażenia: oczy te były zmęczone i straszne, wyglądała z nich, jak z podziemnej jaskini, chłopska głupia, zdziczała rozpacz, podobna do niedocieczonej tajemnicy.

— Ja tu, panie, odniosłem książki, co mi ta nauczycielka pożyczyła, — mówił, wyciągając z zanadru kilka wyszarzanych i zabrudzonych tomików.

— Daj ty mi pokój... idź precz! — zawołał

doktór, odwracając się od niego i uciekając do pokoiku.

Tam stanął wśród porozrzucanych na podłodze rupieci, papierów, książek i ze śmiechem pytał sam siebie:

— Czego ja tu chcę?... Nic tu po mnie, nie mam prawa!

Obejmowała go cześć głęboka, zrozumienie, wwiadywanie się pilne, wielka pokora. Gdyby tam zostawał choćby godzinę dłużej, doszedłby do tego szczytu łańcucha gór, na którym siedzi szaleństwo. W sekrecie przed samym sobą wiedział, że go zdejmuje obawa o siebie. W tem wszystkim, co go miażdżyło w owej chwili, była ogromna niesymetria z nim samym, coś, co wywazało z głębi jego duszy ostateczny rdzeń uczuć ludzkich — egoizm i, egoizm ten dusząc, kazało naprawdę dać się otaczać tęczy, która uniosła z ziemi tę głupią dziewczynę. Trzeba uciekać co prędzej... Zgodzwszy się na wyjazd natychmiastowy, zaczął rozpaczając pięknymi frazesami, co było już ulgą znaczną.

Kazał odjechać...

Pochylił się nad trupem Stasi i szeptał na jej uczczenie najpiękniejsze wyrazy, jakie wymarzyć mogły na chwałę wielkości puste serca ludzkie. Zatrzymał się raz jeszcze we drzwiach, obejrzał przez sekundę myślał, czy nie lepiejby było umrzeć natychmiast, potem rozsunał gromadę chłopów przed drzwiami, wskoczył na sanie, przewrócił się na twarz i poniosły go konie, duszącego się spazmatycznym płaczem.

Śmierć panny Stanisławy wywarła wpływ niejaki na usposobienie doktora Pawła. Przez pewien czas czytywał w wolnych chwilach »Boską komedję« Dantego, w winta nawet nie grywał, gospodynię dwudziestoczteroletnią odprawiał. Stopniowo jednak uspokoił się. Obecnie ma się znakomicie; utył, pieniędzy worek uczciwy nazbijał. Ożywił się nawet; dzięki jego usilnej agitacji wszyscy prawie optymaci obrzydłowscy, z wyjątkiem krzykliwych, prawda, ale też nielicznych konserwatystów, zaczęli palić papierosy w gilzach niesklejanych, zaszczytnie znanych pod godłem »nieszkodliwych piersiom«. Nareszcie!..



NA POKŁADZIE.

Na pokładzie statku, dążącego z Brunnen do Fluelen tłoczyło się wielu turystów. Byli tam przedstawiciele narodowości francuskiej, niemieckiej, włoskiej, angielskiej i innych. Świt roztoczył się nad górami i ogarnął tę całą krainę, jak niewymowne wzruszenie. Kopuła Urirothstock *) stała wśród nocnych obłoków, niby tajemniczy przybytek w dymie kadzidel. Na prawo i na lewo lśniły się pod słońcem szczyty lodowe. W głębi, u samych wód szukała jeszcze kryjówki noc, zewsząd wygnana. Świerki, leszczyny i brzozy nad brzegiem tulily ją między siebie, ile mogły. Zniżały gałęzie aż do samej wody i, oniemiałe z podziwu, patrzyły we własne odbicia, rodzące się w głębokiej topieli. Długa zatoka, jakby martwa, nieruchoma, fiolkowa tafla, leżała pod znikomym tumanem. Błędne i wiotkie mgielki wstawaly z przezroczystych nurtów i chodziły nad wodami. Widziało się, że daleko, daleko, w zamroczonej nie-

*) Szczyt górski w Alpach

bieskiej dolinie tułają się i krążą nad leżącym w ciszy jeziorem cienie i widma, wyśnione przez Schillera, który tu marzył.

W pewnej minucie na jednostajnej barwie oddechu wynikła przedziwna, jasnozielona plama o brzegach mocno zarysowanych i mknęła chyżo, niby swobodna łódka Tellowa. Statek, nurzając się w toń, wstrząsał jej uśpioną powierzchnię i ciągnął za sobą jakby obwisłe skrzydła z fal rozkołysanych. Te lśniące, błyskotliwe, małe fale szły wstecz, coraz wolniej, ku czarnym brzegom, pieszcząc się wzajem jedne z drugimi.

Cały przód pokładu pełen był dzieci szwajcarskich. Mieściła się tam szkoła z jakiejś wioski kantonu Appenzel, odbywająca zwyczajną wędrówkę letnią w poprzek swego kraju. Byli to chłopcy i dziewczęta różnego wieku, synowie i córki rolników i drobnych mieszczan, pastuchów i kupców, rolników i służby, dorobkiewiczów i nędzarzy. Wszyscy byli już dosyć znużeni, ogorzali, pyłem okryci. Przewodniczył im nauczyciel, *hajb* z ruchami parobka, o twarzy piegowatej, ordynarnej, zarosłej bezbarwnym włosem. Było jednak w tem obliczu coś, co wyróżnia pedagoga tamtejszego z tłumu. Malowało się na niem przyzwyczajenie do mówienia prawdy otwartej i nieskażonej, zawsze i wszędzie. Ten mus, ten piękny owoc wysokiej kultury zmywa w ciągu lat, jak niestrudzona woda rogatą glebę, przywary indywidualnego charakteru, wrodzone brzydoty temperamentu i znaczy twarze dziwnym uśmiechem, jaki oglądać można chyba tylko na starych płótnach Bernar-

dina Luini'ego. Są to naiwne twarze, które kłamać nie umieją.

Szkola taka, gdzie się da, maszeruje, miejscami jedzie koleją, albo płynie na statku. W okolicach północnych zwiedza fabryki, świetne warsztaty, muzea, kościoły, piękne miasta nad jeziorami, siedliska życia, wiedzy i pracy; odludne wioski, stare ruiny i wreszcie martwe pustynie na wysokich górach, gdzie ponury lodowiec śpi w milczeniu wiekuistym. Starsi gromadzą w swych zielonych pudelkach zioła i owady, — młodsi na polach Näfels, Morgarten, Sempach słuchają wykładu zdarzeń i uczą się legend, które są jakby westchnieniami ludzkości.

Gdy przekroczą wysoki szczyt gotarski, gdy zstąpią do pięknej doliny Tessinu, ludzie, mówiący językiem obcym, Włosi czarni a żywi, przyjmą ich z otwartymi ramionami — są to bowiem ich bracia.

Gdy po długiej wędrówce znajdą się w smutnej dolinie Rodanu, w miejscach, gdzie ludzie mówią po francusku, i tam przyjmą ich z miłością, są to bowiem ich bracia.

Gdy statek wymijał Grütli, rozległ się piękny śpiew tych dzieci. Zwróceniem twarzami do wyniosłego urwiśka nieśmiertelnej skały, śpiewali:

»Vom ferne sei herzlich gegrüßet, du stilles Gelände am See...« *).

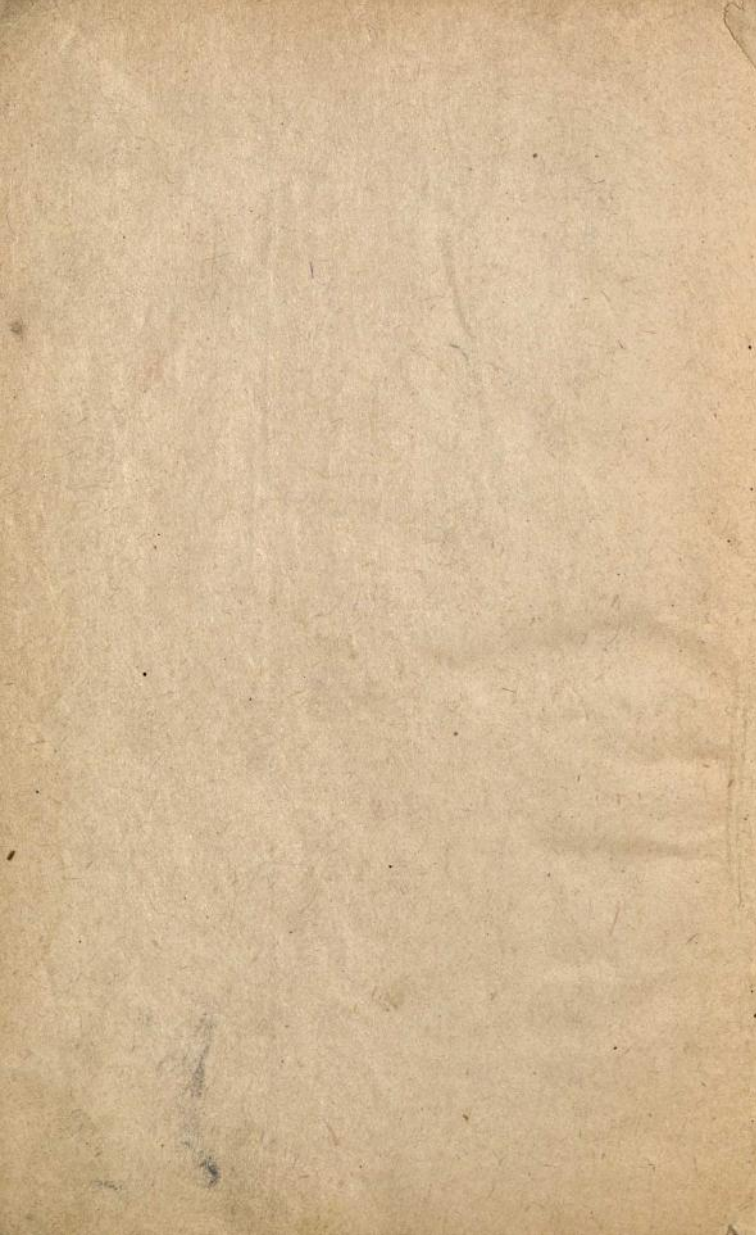
Obcokrajowi pasażerowie skupili się dokoła małych śpiewaków i z przyjemnością słuchali

*) Bądź pozdrowiona zdala serdecznie, cicha kraino nad jeziorem (niem.)

zgodnego chóru. Tu i owdzie wymykało się z tłumów słowo pochwały. Jakiś Niemiec z cicha bił oklaski, jakaś szczupła dama ze wzruszeniem szepnęła do towarzysza: *oui, c'est beau...**). Pergaminowa twarz Anglika mieniła się rzewnym uśmiechem. Na uboczu stało kilku młodych ludzi. Oblicza ich były bardzo smutne, a źrenice zasłonięte łzami.

*) Tak, to piękne (franc.)







- yk Adam. Wybór poezyi.
 yski K. Wybór poezyi.
 Wincenty. Pieśń o ziemi na
 ilewski Edm. Wybór poezyi.
 yski J. B. Wybór poezyi.
 znowski Ign. Za co powinniś
 d. 2-gie.
 yski Ign. Bajki i przypowia
 majer. K. Wybór poezyi.
 rowicz Jan. Wybór poezyi.
 mcewicz J. U. Wybór poezyi.
 awski-Dzierykraj Fr. Bajki. Wybór.
 znowski M. Wybór poezyi.
 zński K. Wybór poezyi.
 W. Wybór poezyi.
 ohawska H. Wybór poezyi.
 Gt. Wybór poezyi.
 oś M. Satyry. Wybór.
 rawski Fr. Wzięta w sąsiedztwo. Listy poetyckie.
 yski B. Pieśni górskie serbskie. — Car Łazarz, czyli
 Rossowski.
 yski Gustaw. Kirgiz.
 Wincenty. Przygody młodości Unci Pana Benedykta
 oniego I.
 zkowa Eliza. Bracia.
 iatto & ruinach.
 ała L. dr. Mieszczanie polski z XVII w.
 Obłężenie Lwowa w r. 1648.
 Bitwa pod Beresteczkiem.
 Obłężenie Zbaraża i okół pod Zborowem.
 ajacha Keri. Wzrok króla Jana.
 Barbara Radziwiłłówna.
 Złobocze pluga polskiego. — Urody Krzyżackie.
 Zwycięstwo pod Lwowem w r. 1673. Tryallarze.
 lewicz Adam. Ballady.
 Bajki i powiastki.
 Liryki.
 yski Józ. Onieć zadżumionych. — W Szwajcaryi.
 Jan Bielecki. — Arab. — Młoch.
 Mindowe.
 Złota czaszka.
 Marya Stuart.
 zczkawa E. Daleko. — Karyery.
 Słonec domu.
 Dobra pani.
 Panna Róża.
 ożdziewicz M. Rupiecie.
 Kamienie. — Głotka. — Wpisany do heroldyi.
 onopnicka M. Z Liryk i obrazków.
 omcewicz J. U. Śpiewy historyczne.